

III. ROZMOWY W REDAKCJI

Z Profesorem Józefem Modrzejewskim-Mélèze rozmawia Stanisław Salmonowicz

Profesor Józef Modrzejewski (Joseph Mélèze) jest światowej sławy badaczem kultury i prawa antycznego, autorytetem w dziedzinie papirologii i prawa rzymskiego. Urodził się w 1930 r. w Lublinie, ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim w 1952 r., w 1957 uzyskał doktorat nauk historycznych UW, w 1970 – doktorat państwowy z prawa w Paryżu, w 1976 r. doktorat ès lettres na Sorbonie. Pracownik naukowy w Centre National de la Recherche Scientifique w latach 1959–1972, był wykładowcą na licznych uniwersytetach francuskich i zagranicznych. Profesor historii starożytnej Université Paris I (Sorbonne), w latach 1978–1999 Directeur d'Études à l'École Pratique des Hautes Études, IVe Section, titulaire de la Direction d'études de Papyrologie et Histoire des Droits de l'Antiquité (od 1972 r.). Jest m.in. członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk, członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, członkiem Akademii Nauk w Atenach. Posiada doktorat honoris causa Uniwersytetu w Atenach. Od 1970 r. profesor J. Modrzejewski-Mélèze nieprzerwanie pełni funkcję redaktora naczelnego „Revue Historique de Droit Français et Étranger”.

S.S.: Redakcja Czasopisma Prawno-Historycznego w ramach cyklu rozmów z wybitnymi uczonymi powierzyła mi spotkanie z Tobą. Chciałbym naszą rozmowę zacząć od krótkiego pytania: jak wyglądało w skrócie to, co moglibyśmy nazwać klimatem intelektualnym, sytuacją Twoją własną i rodziny w momencie zakończenia wojny i pierwszych lat przed studiami na Wydziale Prawa U.W.?

J.M.M.: W momencie zakończenia wojny przebywałem w Lublinie, w moim rodzinnym mieście. Mój ojciec inżynier chemik, który studiował na politechnice w Karlsruhe (ówczesne Wielkie Księstwo Badeńskie), był dyrektorem gazowni, czyli że była to, powiedzmy sobie, rodzina inteligentka. Ojciec zmarł przed wojną, matka, moje dwie siostry i ja przeżyliśmy wojnę, przeżyliśmy okupację niemiecką. Dużo o tym można by mówić, ale pytanie dotyczy momentu po ukończeniu wojny, przejdźmy od razu do niego. Miałem wtedy czternaście lat. Miałem szczęście, że podczas wojny chodziłem na komplety tajnego nauczania, nauczyłem się łaciny, greki, i tu

narodziło się zamiłowanie do studiowania Antyku; swego rodzaju było to olśnienie – z jednej strony studia greki, a z drugiej strony lektura i to całkiem przypadkowa, bo to racjonalistycznie trzeba nazwać przypadkiem, natrafiłem w bibliotece Kuratorium Szkolnego w Lublinie na encyklopedię „Ultima Thule” i tam wpadłem dosłownie na artykuł o hellenizmie i kulturze aleksandryjskiej, i to mnie dosłownie olśniło. I odtąd pragnąłem tylko znaleźć się w Aleksandrii, duchowo, przeżyć na nowo awanturę Greków, Żydów, Rzymian, którzy tam działali, no i jakoś to marzenie się spełniło...

S.S.: W takim razie dlaczego zacząłeś studia na Wydziale Prawa UW?

J.M.M.: Bardzo dobre pytanie. Bo moja mama, kierowana przesłankami praktycznymi nie chciała mnie puścić na studia filologii starożytnej. „Ucz się Józiu czegoś praktycznego” mawiała, a ojciec jednego z moich kolegów mówił: „Józiu ucz się również na szofera, bo nauka chleba nie daje”. Chleba, chleba z masłem ostatecznie jakoś jednak nie zabrakło; nie ma wielkich festynów, ale nie skarżymy się. Miałem szczęście, że udało mi się połączyć studia prawnicze z moim zamiłowaniem do starożytności. Na studia prawa na Uniwersytecie Warszawskim dostałem się w 1948 r., po zdanej w Lublinie maturze i tam odnalazłem profesora Jerzego Manteuffla. Filolog, papirolog, który przyjechał kiedyś do Lublina, kiedy byłem jeszcze uczniem w liceum i brał udział w jakiejś uroczystości, na której przypadło mi cytowanie po grecku strofy safickiej. Jemu się to bardzo spodobało i jak przyjechałem do Warszawy na studia przyciągnął mnie do siebie do Instytutu Papirologii. W Instytucie Papirologii Jerzy Manteuffel zajmował się filologią i tam spotkałem Rafała Taubenschlaga, który w Warszawie po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przeżył wojnę, dostał katedrę prawa antycznego; nie rzymskiego, ale antycznego. Profesorowi Taubenschlagowi też przypadł do gustu młody człowiek, który się interesuje historią prawa, zna łacinę i grekę; wręcz przypadł mu do serca. I na pierwszym roku, zostałem mianowany zastępcą asystenta. Wcześniej zacząłem karierę naukową, prawdopodobnie za wcześnie, bo profesor Taubenschlag od razu wypuścił mnie na głębokie wody, gdzie łatwo się było utopić. No jakoś obeszło się bez tego, ale wypilem jednak trochę tej słonej wody. Dzisiaj to chyba nie byłoby możliwe, żeby student w wieku dwudziestu, dwudziestu jeden lat był zastępcą asystenta i pisał naukowe artykuły po angielsku w „Roczniku Papirologii Prawniczej”.

S.S.: Przepraszam, że ci przerwę. Te pierwsze lata po wojnie charakteryzowały się wśród większości tych, którzy mieli studia przerwane przez wojnę, ogromnym zapałem do nauki, mimo warunków politycznych, jakie istniały w Polsce. To chyba stworzyło pewien klimat, chyba także i w Twojej ówczesnej postawie?

J.M.M.: Niewątpliwie.

S.S.: Poza tym brakowało kadr, trzeba było na gwałt kształcić kadry.

J.M.M.: Niewątpliwie, sądzę, że to wynika z sytuacji, w jakiej była nauka i nauczanie w Polsce podczas okupacji. Szkoły średnie nie istniały, z wyjątkiem szkół zawodowych. Uniwersytet nie funkcjonował. Moi koledzy francuscy dziwią się, kiedy to dzisiaj opowiadam. Tu wszystko było w toku, w dalszym ciągu szło. Stąd w Polsce od 1945 r. było dużo różnych nadziei – była nadzieja, że Polska odżywa, że będzie szła jakąś własną drogą, między socjalizmem sowieckim i kapitalizmem zachodnim. Potem okazało się, że były to złudzenia, które się rozmyły.

S.S.: Chciałbym tu dodać, że nawet ci, co tych nadziei nie mieli, to po prostu starali się wykonywać to, co byśmy nazwali pracą pozytywną, pracą organiczną, to znaczy – przynajmniej robić swoje, we własnym kółku, w miarę możliwości nie mieszając się do rzeczy ogólnych, do których mieli stosunek przynajmniej krytyczny czy bojaźliwy. Może powiesz parę słów o obrazie Wydziału w tych latach, zwłaszcza 1950–1956, o jego profesorach, czy środowisku studenckim?

J.M.M.: Pamiętam i profesorów, i studentów, kolegów. Dzisiaj z perspektywy przeszło pół wieku, jak myśli się o tamtych czasach, to widzę na pierwszym miejscu odbudowę – odbudowę uniwersytetu, odbudowę budynków, całej struktury studiów wyższych. W nawiązaniu do tego, co mówiliśmy przed chwilą – po czterech czy pięciu latach przerwy chodziło o to, żeby znów nawiązać do tego, co było w przeddzień wojny. Zachowałem doskonale wspomnienia z tych pierwszych lat studiów, chodziłem na wykłady, pamiętam profesorów, dużo nazwisk przychodzi na myśl. To były lata 1948–50, lata właśnie entuzjazmu i złudzeń. Dopiero na trzecim roku studiów dowiedzieliśmy się wszyscy, że demokracja ludowa nie jest jakimś nowym ustrojem, ale specyficzną formą ustroju socjalistycznego. Wiemy jakie wydarzenia polityczne kojarzą się z tym okresem, który dla mnie jest okresem studenckim.

S.S.: Tu może właśnie pytanie. Ta sprawa jest trochę dyskusyjna, ponieważ nie we wszystkich ośrodkach te rzeczy przebiegały schematycznie, tak samo. Problem ten istnieje, od kiedy nacisk ideologiczny odgórny, czy to na studentów, czy to na profesorów według pewnych opinii on już się wyraźnie odczuwał w 1949 r., ja osobiście w obserwacjach z uniwersytetu krakowskiego twierdzą, że to dopiero rok pięćdziesiąty był przełomowy.

J.M.M.: Chyba tak. Sądzę, że rok pięćdziesiąty był przełomowy. Kongres Zjednoczenia Partii (PPS i PPR) był w grudniu 1948 r., ale jego konsekwencje dały się odczuć dopiero za rok. Za rok, jeśli nie więcej. Był oczywiście odgórny nacisk, była presja. W Instytucie Papirologii i Prawa Antycznego,

którym kierowali Rafał Taubenschlag i Jerzy Manteuffel rzeczy nie miały się tak, jak gdzie indziej. Usiłowano wywrzeć nacisk na profesora Taubenschlaga. Sekretarz czy sekretarka partii złożyła mu kiedyś wizytę i pytała się, czy profesor cytuje w swoich pracach Marksa i Engelsa – bo oczywiście powinien to robić. Na co profesor zapytał, czy Engels cytował Taubenschlaga? Odpowiedzi nie było i w ten sposób Instytut Papirologii stał się jakimś miejscem, do którego szczęśliwie jakoś rewolucja nie docierała.

S.S.: Tu może jedno pytanie. Jest taka znana mi od dawna anegdota, co do której nie mam pewności, czy nie jest jedną z anegdot stworzonych post factum, która wiąże się z Taubenschlagiem, jeśli możesz to wyjaśnić. Podobno profesor Taubenschlag, w epoce kiedy zaczęły napływać w latach pięćdziesiątych rozmaite okólniki, zarządzenia, żądania planowania, mnóstwo tych rzeczy, to podobno miał mawiać swoim asystentom: „proszę to wszystko wrzucać do kosza, jeśli jest coś ważnego, to przyjdzie ponaglenie”. Czy slyszales o czymś takim?

J.M.M.: Tego szczegółu nie pamiętam. Ale anegdot o profesorze Taubenschlaga krążyło i krąży jeszcze wiele. Nasz zmarły kolega Henryk Kupiszewski w bardzo sumiennym artykule o profesorze Taubenschlaga wiele tych anegdot cytuje. Artykuł ten ukazał się po polsku, a potem po włosku (w „*Bullettino del Instituto del Diritto Romano*”). Różne rzeczy działy się wtedy w otoczeniu Taubenschlaga. Rafał Taubenschlag był wielkim uczonym, jego erudycja przygniatała wręcz otoczenie, ale w życiu codziennym miał czasem sposób bycia takiego nieznośnego młodzieńca. Bawiły go spory z kolegami, lubił sobie z innych żartować, pokpiwać, tak, że nie było smutno w Instytucie Papirologii.

S.S.: Prawdopodobnie nie wpadła ci do ręki książka – wspomnienia profesora Stefana Grzybowskiego, byłego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, nestora polskich cywilistów. Otóż pisząc o początkach działalności Wydziału Prawa UJ w 1945–1946 r., wspomina tam o powrocie Taubenschlaga do Polski (który był, należy to przypomnieć, do roku 1939 profesorem UJ), pisząc o nim w sposób raczej krytyczny, nawiązując do sporów najczęściej wywoływanych właśnie przez samego Taubenschlaga. Doszło m.in. do konfliktu, chyba prestiżowego, między ówczesną Katedrą Historii Prawa Polskiego, kierowaną przez Stanisława Kutrzebę, obok którego był wtedy młody docent Adam Vetulani. Taubenschlag, z przyczyn niejasnych, napisał wtedy kilka rozpraw na temat polskiego średniowiecza, między innymi o procedurze i prawie karnym średniowiecza, które to książki były głównie obliczone na zaniegowanie niektórych tez Stanisława Kutrzeby, a zwłaszcza Adama Vetulaniego. Odbyły się wówczas bardzo ostre polemiki między tymi dwoma autorami. Odpowiadając na zarzuty Adama Vetulaniego, który był przecież znakomi-

tym znawcą źródeł średniowiecznych, profesor Taubenschlag napisał dosłownie tak: „Jedyną wartość w odpowiedzi docenta Vetulaniego mają cytaty z moich rozpraw”. Tak się Anno Domini 1931 dyskutowało. Taubenschlag prawdopodobnie nie najlepiej się czuł w środowisku bardzo specyficznym, jakie tworzyła kadra profesorów krakowskich, z której on się nie wywodził genetycznie, że tak powiem, a z drugiej strony jednak był człowiekiem dość burzliwym.

J.M.M.: Był burzliwy, był zaczepny, spory podniecały go, lubił polemikę i to ostrą polemikę. Adam Vetulani jest tylko jednym przykładem, jednym z wielu. W podobny sposób toczyła się wielka wojna z kolegą Taubenschlaga Kutrzebą. Kutrzeba *contra* Taubenschlag, tu też dochodziło do publikacji bardzo złośliwych i uczniowie wykupywali te teksty, żeby się takie publikacje nie dostawały do rąk niepowołanych czytelników. Można to wszystko przypisać trudnościom, z jakimi spotkał się Taubenschlag, kiedy właśnie do tego środowiska, którego nie był produktem, starał się dostać. Wiem, że opowiadał o tym, odległe to dzieje, iż swoją karierę na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego zawdzięczał głównie swemu mistrzowi Stanisławowi Wróblewskiemu, którego zawsze z wielkim nabożeństwem wspominał, bo potrafił być zaczepny i złośliwy, ale potrafił również być wdzięczny. W stosunku do Wróblewskiego był nienaganny.

S.S.: A teraz może powiedz parę słów, jaki był dalszy ciąg wydarzeń, bo kończysz studia, pomału ten stalinizm klasyczny zbliża się do końca, ale właściwie atmosfera polityczna Warszawy tak czy owak nie jest najlepsza?

J.M.M.: Atmosfera nie była najlepsza. Skończyłem studia (magisterium w 1952 r., a potem praca doktorska, to się wtedy nazywało kandydaturą nauk historycznych) pod kierunkiem profesora Taubenschlaga. Wraz z Henrykiem Kupiszewskim również był jeszcze wtedy Cezary Kunderewicz, doktor przedwojenny, który musiał wedle nowych przepisów, wzorowanych na radzieckich, także tę kandydaturę nauk robić. Więc pisaliśmy te prace w latach 1955–1956. W roku 1956 przyszedł październik polski i odwilż i czasy się zaczęły troszkę zmieniać. W 1957 r. przyjechali do Warszawy przedstawiciele zagranicznych organizacji naukowych. Między innymi przyjechał przedstawiciel Fundacji Forda, pochodzenia polskiego, niejaki pan Akielaszek, który był profesorem na uniwersytecie katolickim gdzieś w Stanach Zjednoczonych, w Washingtonie, czy Nowym Jorku, i kilku młodych uczonych, jeśli tak można ich nazwać, miało wtedy nadzieję na stypendium, na wyjazd za granicę. Myśmy to uzyskali z Henrykiem Kupiszewskim. Taubenschlag jeszcze wtedy żył. Z początku dawał na to zgodę, a potem ta zgoda tak się jakoś ścieśniała – bo najpierw było powiedziane „na rok”, potem „wystarczy panu sześć miesięcy”, potem „pojedzie pan sobie na miesiąc i wróci pan do Warszawy”.

I tak się złożyło, że w roku 1958 (na wiosnę 1958) profesor Taubenschlag tragicznie zakończył życie – popełnił samobójstwo, będąc w szpitalu rządowym. Bardzo cierpiał, był chory na jaskrę. To są potworne bóle. Spróbowano zrobić z tego tragiczny wypadek, ale tragiczny wypadek dla szpitala rządowego byłby bardzo niekorzystny. Ale samobójstwo też nie było dobrze widziane. Jedno niedobrze i drugie niedobrze.

S.S.: Czy w przypadku Taubenschlaga istniała rzeczywiście przyczyna mogąca skłonić go do samobójstwa?

J.M.M.: Przyczyną była choroba, ale samobójstwo... Wiem, że sprawa samobójstwa była później poruszana, a nawet podważana, kiedy należało zorganizować pogrzeb. Było pytanie – gdzie Taubenschlaga pochować, był Żydem, który przeszedł na religię katolicką, i ani Żydzi, ani chrześcijanie nie mieli specjalnego entuzjazmu do tego, żeby urządzić pogrzeb samobójcy. W końcu znalazło się jakieś rozwiązanie na to, nowe teorie teologiczne, które też do Polski napływały z zachodu, na zasadzie których samobójca w momencie samobójstwa nie wie co robi i wobec tego może być pochowany w poświęconej ziemi. Ostatecznie został pochowany w Krakowie i to był katolicki pogrzeb.

S.S.: Czy to załamało wasze plany wyjazdowe?

J.M.M.: Była to dla nas prawdziwa tragedia, śmierć mistrza. Ale sprawy wyjazdowe zostały pomyślnie załatwione – wyjechaliśmy obaj Henryk Kupiszewski do Niemiec, gdzie studiował u największego romanisty XX wieku, Maxa Kasera, kto wie czy nie największego romanisty czasów współczesnych. Ja pojechałem do Francji, bo moja żona pochodziła z rodziny polskiej, ale która wyemigrowała najpierw do Belgii, a potem do Francji z początkiem lat trzydziestych i chciała powrócić do swojej rodziny, bo tam miała matkę, siostrę, brata, i w ten sposób wylądowaliśmy w lecie w lipcu 1950 roku na paryskim bruku.

S.S.: Co było dalej?

J.M.M.: W 1958 roku uzyskałem stypendium Fundacji Forda, na rok. W 1959 r. szczęśliwie otrzymałem stanowisko naukowo-badawcze w Centre National de la Recherche Scientifique, głównie za wstawiennictwem Henri Levy-Brühl'a, głośnego romanisty i socjologa, który odniósł się bardzo przyjaźnie do moich planów kontynuacji pracy naukowej w Paryżu. Zostałem wprawdzie przyjęty tylko na rok, ale potem jakoś o tym zapomnieli, że zatrudnienie było określone na jeden rok i kontynuowałem tę pracę przez lat 14.

S.S.: A jaka była Twoja pozycja wobec Warszawy?

J.M.M.: Pozycja była oczywiście bardzo trudna. Wystąpiłem naprzód o urlop do dziekana i dostałem urlop bezpłatny. Potem prosiłem o przedłu-

żenie urlopu. Z tą kwestią nie wiodło się już dobrze. Następnie zwróciłem się do władz o paszport konsularny: mając matkę w Warszawie nie chciałem formalnie zrywać z krajem, chciałem, by matka mogła przyjechać do Paryża. Paszportu konsularnego mi odmówiono. I tak pewnego dnia wraz z żoną znaleźliśmy się w sytuacji bardzo nieprzyjemnej, nie miałem ani papierów polskich, ani francuskich. Jakoś Francuzi ostatecznie mi pomogli i w końcu z tego wygrzebaliśmy się, ale z wielkim trudem. Trudne były to przejścia, ostatecznie dostałem obywatelstwo francuskie w 1964 r., czyli po 6 latach pobytu we Francji.

S.S.: Czy ciągle jeszcze pracowałeś w francuskim Centrum Badań Naukowych, którą to instytucję można porównać z instytutami naukowymi Polskiej Akademii Nauk, przecież nie prowadziłeś jeszcze zajęć na uniwersytetach?

J.M.M.: Zajęcia na uniwersytetach przyszły z czasem, ale nie od razu w Paryżu. Zaproponowano mi pracę na uniwersytecie w Saarbrücken, który był uniwersytetem francusko-niemieckim. Otrzymałem wykłady zlecone z historii państwa i prawa w starożytności, a stało się to znów za pośrednictwem wielkiego mojego przyjaciela profesora Jerzego Langroda, który przed wojną, jako młody jeszcze profesor miał Katedrę Francuskiego Prawa Administracyjnego w Krakowie. To był nadzwyczajnie zacny i kochany człowiek i posłał mnie do Saarbrücken. Jeździłem z nim do Saarbrücken, jak również i do Portugalii; on tam udzielał jakiś porad, ja byłem jego asystentem. Potem przyszedł rok 1967 i tu trzeba wymienić profesora Jeana Gaudemeta, który odegrał w mojej karierze naukowej wielką rolę; wspominam o tym w artykule – nekrologu, który mu poświęcam w niniejszym zeszycie CPH. Profesor Gaudemet zainicjował moje wykłady z historii prawa greckiego i wprowadził mnie na Wydział Prawa paryskiego Uniwersytetu w 1967 r. Jednocześnie zaproszono mnie na wykłady papirologii prawniczej w Marburgu w Niemczech, gdzie był Instytut Papirologii i Historii Prawa Antycznego, zgodnie z tradycją, na zasadzie której pionierzy papirologii byli jednocześnie historykami prawa. To tradycja Ludwika Mittheisa w Lipsku, czy Leopolda Wengera w Monachium. Więc zaproponowano mi tam dyrekcję tego instytutu i wykłady papirologii. Wykładałem przez rok papirologię prawniczą dla niemieckich studentów i potem przyszedł taki moment, że trzeba było wybierać albo Marburg, albo Paryż. Wybraliśmy Paryż, a z Marburgiem zachowałem do tej pory przyjazne stosunki.

S.S.: To by była ta pierwsza część Twojej działalności francuskiej i tutaj trzeba powiedzieć, że przystąpiłeś do pracy, zarówno rozwijając ten dział papirologii, który – o ile się nie mylę – we Francji był mało rozwinięty, a poza tym od pewnego momentu przeszedłeś do działania w redakcji „Revue Historique de Droit français et étranger”, od razu chyba przejmując tam cały dział informacyjno-bibliograficzny Antyku?

J.M.M.: Może nie całego Antyku, ale w ramach bibliografii spraw antycznych objąłem Grecję i świat hellenistyczny chyba jeszcze w roku 1961.

S.S.: To jest właściwie kontynuowane do dziś, czyli ponad 40 lat.

J.M.M.: Jest kontynuowane ponad 40 lat. Potem był taki moment, w którym ta praca była nie tylko informacją, ale równocześnie pracą krytyczną, która ulegała rozwinięciu, bo nie można przecież podawać tylko nagiej informacji, trzeba czytelników jakoś merytorycznie zorientować. Zaproponowano mi również współpracę we Włoszech z „*Studia et Documenta Historiae et Juris*”, również w Niemczech zaproponowano mi współpracę z „*Archiv für Papyrusforschung und antike Rechtsgeschichte*” i w pewnym momencie też w Polsce w „*The Journal of Juristic Papyrology*”, założonym jeszcze w Ameryce przez Rafała Taubenschlaga, a później przez niego prowadzonym w Warszawie („*Rocznik Papirologii Prawniczej*”), którego dyrekcję po jego śmierci objęli jego uczniowie – Henryk Kupiszewski, a później jeszcze papirologowie – (Ewa Wipszycka) i dzisiaj młode pokolenie papirologów dalej tam pracuje. Jeśli chodzi o czasopismo „*Revue*”, które – jak wiadomo – jest chyba jednym z najstarszych pism specjalistycznych w dziedzinie historii ustroju, myśli prawniczej i politycznej, założone było w 1855 roku. Przejąłem redakcję i odpowiedzialność za całość czasopisma w roku 1971. Przekazał mi ją mój kolega i przyjaciel, zmarły już, Jean Imbert, wielki także przyjaciel Polski, który wyjeżdżał wówczas do Kamerunu obejmując tam urząd rektora uniwersytetu i powierzył mi pismo. Jakoś dałem sobie z tym radę. Od przeszło trzydziestu lat działam na tym stanowisku.

S.S.: Zanim postawię pytanie nie sposób nie stwierdzić, że jest to zjawisko na tę skalę rzadko spotykane, zapewnia pismu pewną jednolitość działania, pewien styl. Obok niemieckiego „*Savigny-Zeitschrift*” „*Revue*” stanowiła drugi, najważniejszy periodyk historii prawa w skali Europy, ale i świata. Dziś ubolewamy, iż język francuski jest częściowo wypierany z międzynarodowego obiegu naukowego, ale dla polskich historyków prawa, w każdym razie przed 1939 r., to było zawsze pismo najważniejsze. Wielu mistrzów mojej generacji, by wspomnieć Józefa Matuszewskiego, Adama Vetulaniego, czy Michała Sczanieckiego, miało za sobą długie pobyty we Francji i współpracę z „*Revue*”. W okresie stalinowskim ona się urwała, ale warto pamiętać, iż po roku 1957 to humanistka francuska odegrała dla Polaków znaczną rolę – przyjazdami, zaproszeniami, możliwościami współpracy. W związku z tym może pytanie o Twoje doświadczenia jako redaktora „*Revue*” w perspektywie kontaktów z Polską.

J.M.M.: Kontakty z Polską nie ja po raz pierwszy wprowadziłem. Tak jak przed chwilą słusznie zauważyłeś, to pismo było otwarte dla współpracy z Polską i publikacje artykułów, przyczynków autorów polskich, czy też recenzje prac w języku polskim ukazujących się w Polsce, stanowią tylko część tego

większego zjawiska jakim jest współpraca naukowa polsko-francuska. Jeśli chodzi o czasopismo starałem się tylko utrzymać, rozwinąć, pomóc w tym, żeby ta współpraca w dalszym ciągu trwała. Dawaliśmy streszczenia artykułów, które ukazywały się w „Czasopiśmie Prawno-Historycznym”, zajmowałem się tym sam, również publikowało się prace autorów polskich. Ty sam nam dałeś kilkadziesiąt, jak nie więcej recenzji, może setkę, około setki. Jest to prawdziwy wyczyn, bo nie każdy polski historyk prawa jest tak produktywny jak mój przyjaciel Salmonowicz, ale jesteśmy w dalszym ciągu otwarci na współpracę; staramy się, aby ta współpraca trwała i żeby Polska była reprezentowana w naszym czasopiśmie tak, jak się to należy. Historycy, romaniści, młodzi romaniści, boję się wymienić ich nazwiska, bo mogę kogoś zapomnieć, ale jeśli się mówi o starszych, o zmarłych, w numerze, który jest w tej chwili w druku, jest wspomnienie o zmarłym profesorze Bojarskim, doskonałym polskim romanście i nadzwyczajnym człowieku. Za dawnych lat były np. wspomnienia o profesorze Gintowcie, sam napisałem o innych polskich romanistach poprzedniego pokolenia. Sądzę, że ta współpraca jest korzystna dla obu stron, jest korzystna dla Francuzów, którzy wiedzą co się dzieje w Polsce, jest korzystna dla Polski, dla polskiej nauki, która dzięki temu jest trochę eksportowana i przekracza mury trudności językowych. Jak wiem, największą trudnością na płaszczyźnie międzynarodowej stanowi nieznanostwo „egzotycznych” języków, do których niestety polski się zalicza. Jest to trudność nie do przezwyciężenia dla przeciętnego francuskiego czytelnika – naukowca, ale dodam, że przeciętny francuski czytelnik ma również wielkie trudności z czytaniem książek, czy artykułów po niemiecku, po włosku czy po angielsku.

S.S.: To jest tradycja XVIII–XIX-wieczna, kiedy język francuski był właśnie tą *lingua franca*, językiem światowym, był językiem przede wszystkim dyplomacji międzynarodowej, w której bez języka francuskiego nie było, że tak powiem, w ogóle możliwości działania i ta tradycja w pewnym sensie zneutralizowała także francuskie koła naukowe, które nie wzięły pod uwagę tych powojennych przemian językowych, które wynikają z ekspansji języka angielskiego. Skądinąd dobrze wiemy, że pomijając niektóre specyficzne działy, to poza oczywiście historią prawa krajów anglosaskich, jeżeli chodzi o dorobek ogólnowiatowy problematyki historyczno-prawnej, siłą rzeczy kraje anglosaskie w pewnej mierze pozostają w tyle, z uwagi na specyficzny rozwój prawa w ogóle w tych krajach. Ale wróćmy może do pytania podstawowego o Twój własny dorobek okresu francuskiego, o dokonaniach, a może i zarazem o pewnych planach.

J.M.M.: Trudno o tym mówić, bo się wtedy wygląda na samochwałę.

S.S.: To jest kwestia pewnej samooceny; warto powiedzieć, które Twoje podstawowe publikacje uważasz za szczególnie istotne w Twoim dorobku i taka samoocena też ma wartość dla historyka nauki.

J.M.M.: Wydaje mi się, że od kilkadziesiątu lat ciągle piszę tę samą książkę, która jest ciągle nie skończona i którą chciałbym skończyć, zanim starość, skleroza, jeśli nie przechadzka na tamten świat, nie przyniosą same końca. Interesują mnie źródła prawa, czynniki, które formują prawo, spotkanie kultur prawnych, i Egipt hellenistyczny, Egipt monarchii Ptolemeuszów, później prowincja rzymska jest terenem szczególnie uprzywilejowanym, jeśli chodzi o studia kontaktów między różnymi systemami prawnymi, wzajemnych oddziaływań jednej kultury prawnej na drugą. Tym się całe życie zajmowałem i tym się w dalszym ciągu zajmuję. Napisałem na ten temat sporo artykułów, które o objętości 50–60 stron, wystarczyłyby na niejedną książkę. Mam tych artykułów dwa zbiory. Jeden się nazywa, po polsku tytuł brzmiałby *Prawo cesarskie i tradycje lokalne w Egipcie rzymskim (Droit impérial et traditions locales dans l’Egypte romaine, Aldershot 1990)*. Druga książka to zbiór rozpraw pt. *Statut osobisty i więzy rodzinne w prawach antycznych (Statut personnel et liens de famille dans les droits de l’Antiquité, Aldershot 1993)*.

S.S.: Ale jest także wielkie dzieło, teraz wydane i po polsku – z dziejów starożytności hebrajskiej?

J.M.M.: A to co innego. Za chwilę do tego powrócimy. Mówiliśmy więc o pracach, które szczególnie leżały mi na sercu. Są owe dwa wspomniane wyżej tomy, jest już przygotowany materiał na trzeci tom, na temat: *Ustawa i sankcja – o prawodawstwie i sądownictwie*.

S.S.: Rozumiem, że te trzy tomy to jest swego rodzaju wybór dzieł. Ale oprócz tego ogłosiłeś, naprzód po francusku, a niedawno po polsku jedną z największych swoich książek...

J.M.M.: *Żydz nad Nilem*. Te rzeczy się naturalnie ze sobą wiążą. Okres hellenistyczny, w szczególności Aleksandria. Aleksandria Ptolemeuszów i Aleksandria pod panowaniem Rzymu przynajmniej od początku II w. n.e. to teren, na którym spotykają się Wschód i Zachód – racjonalizm grecki i tradycje biblijne przeniesione do Egiptu przez imigrantów żydowskich; to przecież w Aleksandrii powstało tłumaczenie Biblii Septuaginta na język grecki, do tej pory tekst ten jest oficjalnym Pismem Świętym greckiego Kościoła Prawosławnego. I to spotkanie hellenizmu z judaizmem, które jest jednym z większych faktów historycznych, kulturalnych epoki hellenizmu. Ona ma również swój wymiar prawniczy, którego bibliści teologowie nie dostrzegali. Prawo Mojżesza, przetłumaczone na język grecki, zostało uznane w Egipcie hellenistycznym za prawo, które można było zastosować do Żydów mieszkających w Egipcie. Oczywiście judaizm aleksandryjski to nie tylko problematyka prawna. To jest problematyka społeczna, kulturalna, religijna i tak dalej. Pierwsze wydanie tej pozycji miało miejsce w 1991 r., a więc prawie 12 lat

temu. Wydałem je z licznymi ilustracjami w j. francuskim pt. *Les Juifs d'Égypte de Ramsès II à Hadrien*. Potem było drugie wydanie francuskie. Następnie książka została przetłumaczona na język angielski i ukazała się najpierw w USA – w Pensylwanii, jednocześnie miała miejsce koedycja z wydawcą szkockim i wreszcie nowe wydanie angielskie w prestiżowym Princeton University Press, lekko poprawione w 1997 r. Potem trzecie nowe wydanie francuskie w kolekcji „Quadrige” (P.U.F. Paris 1997). Ta kolekcja zwana „Kwadrygą” to seria bardzo prestiżowa, można to uznać za pewnego rodzaju wyróżnienie dla autora, bo są tam na ogół drukowane prace już nieżyjących sław z ubiegłego stulecia.

Zdziwiła się zresztą bardzo redaktorka, jak mnie zobaczyła – „A! To pan żyje?” „A żyję”. Tak zareagowała, bo przeważnie ma do czynienia z autorami nieżyjącymi. I tak byłem więc zawstydzony, że żyję. A teraz staraniem doktora Zdzisława Kapery ukazał się, w jego wydawnictwie Enigma Press w Krakowie – *Żydzi nad Nilem. Od Ramzesa II do Hadriana* w tłumaczeniu mojej rodzonej siostry, Joanny Olkiewicz. Jest to tłumaczenie autoryzowane, siostra tłumaczyła, ja to przeglądałem, poprawiałem i uzupełniałem.

S.S.: Czy twoja siostra i matka przez cały ten okres po wojnie mieszkały w Polsce?

J.M.M.: Mieszkały w Polsce, bo już w tej chwili obie nie żyją. Matki od wyjazdu swego do Francji nie widziałem 28 lat.

S.S.: I właśnie, z wielu przyczyn, a przede wszystkim polityczno-społecznych, przez wiele lat siłą rzeczy nie odwiedzałeś kraju. Kiedy po raz pierwszy, po licznych zmianach przyjechałeś do Polski?

J.M.M.: W 1985 roku. Przyjechałem dlatego, że moja matka, urodzona w 1895 r. miała 90 lat i pomyślałem sobie, jak nie zobaczysz Jej w jej 90 urodziny – to wstyd i hańba. I pojechaliśmy oboje z żoną i dobrze się stało, bo jeszcze tego samego roku musiałem przyjechać w grudniu na pogrzeb matki. Zdarzył się pewnego rodzaju cud w moim życiu, że mogłem moją matkę zobaczyć na parę miesięcy przed Jej śmiercią. Była jeszcze w pełni sił duchowych. I od tej pory przyjeżdżaliśmy do Polski wielokrotnie, byłem zapraszany przez kolegów z Warszawy, do prac doktorskich, czy do habilitacji. I byłem zapraszany na wykłady na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

S.S.: Dodajmy, że zostałeś w tych latach członkiem Polskiej Akademii Umiejętności i szeregu innych...

J.M.M.: I Polskiej Akademii Nauk. Jestem bardzo dumny z tego podwójnego członkostwa, dwóch polskich akademii.

S.S.: Do tego doszły w ostatnich latach doktoraty honoris causa?

J.M.M.: Otrzymałem bardzo przyjemny doktorat honoris causa w Atenach, z którymi oczywiście łączą mnie wielorakie więzy – i naukowe, i duchowe, i osobiste. Wielu moich uczniów jest dziś w Grecji profesorami na uniwersytetach, ale miło było, że połączyli się ze sobą prawnicy i historycy i wręczyli mi dwa dyplomy, w pięknej grece, hellenistycznej, aleksandryjskiej – jeden z wydziału prawa, a drugi z wydziału filozofii, czyli humanistycznego uniwersytetu ateńskiego. Wszystko to odbyło się w kwietniu w tym roku.

S.S.: Może dodam, że wiadomo mi dobrze, iż kariera naukowa człowieka, który przybywa do Francji z innego, stosunkowo niewielkiego kraju, wcale nie jest, zwłaszcza w początkach, łatwa.

J.M.M.: Rzeczywiście nie jest łatwa.

S.S.: I właśnie twoje osiągnięcia w skali światowej, jak i francuskiej, są – zwłaszcza w zakresie humanistyki – powiedziałbym wyjątkowe.

J.M.M.: Moja wrodzona skromność nie bardzo pozwala mi wdawać się w dyskusje w tym temacie.

S.S.: To ja powiedziałem.

J.M.M.: Nie jest łatwo. Oczywiście są przykłady wielkich uczonych polskiego pochodzenia, którzy we Francji zrobili wielką karierę, ale w biologii, czy w fizyce, w naukach humanistycznych, czy prawnych o sławę i pozycję jest rzeczywiście trudno.

S.S.: Jak wiemy, są zwłaszcza pewne formalne przeszkody, które według mnie stworzył system napoleoński uniwersytetów, choćby ta tak zwana słynna *agrégation*, która ogromnie utrudniała jakiegokolwiek, nazwijmy w cudzym słownictwie nostryfikacje innych systemów np. Europy niemiecko-słowiańskiej, która się oparła na habilitacjach, na zupełnie innym układzie rzeczy. Jest rzeczą jasną, iż w naukach ścisłych jest nieco inne podejście, w Stanach Zjednoczonych, o wiele mniej sformalizowane, które niewątpliwie wychodzi na korzyść nauce.

J.M.M.: Ale przed *agrégation* są jeszcze inne dyplomy, egzaminy. Zaczniemy od matury. Znam wypadki, gdy lekarze, którzy przyjeżdżali do Francji z zagranicy (przykłady o których myślę są polskie, ale to samo może dotyczyć lekarzy, którzy przyjechali z Włoch czy z Niemiec) po to, żeby praktykować medycynę we Francji, musieli po raz drugi zdawać maturę. U mnie to był doktorat. Miałem polski doktorat – to był mój tytuł kandydata nauk historycznych, który został przekształcony na doktorat. Ale tego Francuzom było za mało, wobec tego przedstawiłem pracę, nie wydaną do tej pory, to jest właśnie część tej książki, nad którą pracuję: o źródłach prawa w Egipcie grec-

ko-rzymskim i to dopiero był mój doktorat prawny w 1970 r. – doktorat *d'Etat*, czyli najwyższy doktorat francuski. Ale kiedy mi jednak zaproponowano Katedrę Historii Starożytnej na Sorbonie, to te dwa doktoraty nie wystarczyły, polski i francuski, trzeba było mieć doktorat *ès lettres*, wobec czego przedstawiłem zbiór prac. Zarzucano mi podczas obrony pracy, że kolekcjonuję doktoraty, że już mam ich trzy, a jaki będzie czwarty?

Przed doktoratem i maturą są we Francji inne egzaminy i świadectwa. Powołali mnie na komisję wojskową, na całe szczęście nie odbywałem służby wojskowej. Zresztą w Polsce też nie, ale to jest długa historia. We Francji nie, ponieważ zostałem zdyskwalifikowany. Pytano mnie, czy mam *certificat d'études*, to jest świadectwo ukończenia szkoły powszechnej. Odparłem, że nie mam, ale mam doktorat polski i francuski. Zapytano mnie wówczas, czy przynajmniej umiem wychowywać gołębie pocztowe. Ponieważ nie umiałem i nie posiadałem certyfikatu *d'études*, zostałem zakwalifikowany do analfabetów i nie powołano mnie do służby wojskowej.

S.S.: Nasza ciekawa rozmowa dotycząca różnych wątków nie może niestety być zbyt rozszerzona, co zresztą skłania mnie do przekonania, że powinien być niektóre wątki z przeszłości rozwinąć, może w pewnych tekstach. Mam krótkie pytanie na temat, jakie są perspektywy rozwoju warsztatu romanistycznego, czy też roli w ogóle prawa rzymskiego, łącznie z hellenistycznym okresem, dla dalszych badań dziejów kultury europejskiej?

J.M.M.: W skali europejskiej trudno się wypowiedzieć, bo do tej pory wszystko odbywa się jednak w ramach narodowych, państwowych. Sądzę, że perspektywy rozwoju historii prawa, historii społeczeństwa, kultury starożytności, prawa rzymskiego świata hellenistycznego, papirologii prawniczej w Polsce są bardzo piękne. Jest wielu młodych pracowników naukowych, co skłania do optymizmu. Wydaje mi się, że w Polsce jest lepiej pod tym względem niż we Francji. Prawo rzymskie w Polsce też się lepiej jakoś rozwija, chociażby dlatego, że jest obowiązkową materią, obowiązkowym przedmiotem na studiach prawniczych. Wykłady są obowiązkowe, natomiast we Francji tego nie ma. Naszych romanistów *sensu stricto* we Francji można wyliczyć na palcach jednej ręki i nawet nie wszystkich. Romanistów polskich jest i więcej, i więcej pracują. Prawo rzymskie we Francji niestety nie bardzo się rozwija. Natomiast we Włoszech, gdzie tak jak w Polsce prawo rzymskie jest obowiązkowe.

S.S.: Czy dzieje się tak dlatego, że nie traktuje się właściwie we Francji prawa rzymskiego jako odrębnego etapu, to znaczy, że każdy historyk prawa jakiś czas zajmuje się między innymi prawem rzymskim, ale w gruncie rzeczy potem przechodzi do dydaktyki, gdzie prawo rzymskie stanowi margines?

J.M.M.: Margines, bo tak są zorganizowane programy uniwersyteckie, gdzie niestety prawo rzymskie straciło swoją pozycję obowiązkowego przed-

miotu. Jeśli chodzi o formację naukową, to znaczy przygotowanie do pracy naukowej, obejmuje ona bardzo szeroki okres, który rozciąga się od Hammurabiego do Rewolucji Francuskiej przynajmniej, no i oczywiście, że specjalizacja następnie jest o wiele łatwiejsza i o wiele częściej następuje co do średniowiecza i czasów nowożytnych, a nie w prawie rzymskim. Młodych romanistów jest tu bardzo mało, ale ponieważ jest perspektywa europejska, jest nadzieja na to, że te braki czy niedociągnięcia tego lub innego systemu, zostaną jakoś podreperowane, skompensowane lepszą sytuacją naszych dyscyplin w innych krajach. I tu właśnie Polska i Włochy, może nawet Niemcy w pewnym stopniu będą miały swoje zdanie do powiedzenia i będą mogły świecić przykładem.

S.S.: Może ostatnie pytanie, to już trochę tak *pro domo sua*. Nie wiem czy masz na tyle czasu, by się nad tym zastanowić, ale ponieważ ja reprezentuję tutaj redakcję „Czasopisma Prawno-Historycznego”, które wychodzi od 1948... Nie tak dawno obchodziło pięćdziesięciolecie swojej twórczości. Jest ono stale kierowane po wojnie przez bardzo wybitnych uczonych. Zakładał je Zygmunt Wojciechowski, teraz od niemal niepamiętnych czasów kieruje nim Henryk Olszewski, który od kilkadziesiąt lat, naprzód jeszcze jako sekretarz redakcji, ale właściwie zastępujący w dużej mierze przebywającego już w Warszawie Michała Szczanieckiego, a później już całkowicie samodzielnie do dzisiaj kieruje redakcją CPH. Otóż nasze CPH jest oczywiście rzadko czytowane na Zachodzie ze względów językowych, jakkolwiek czasami puszczaliśmy pewne numery, czy części numerów z tekstami w językach światowych, a poza tym stosujemy zawsze metodę dawania do artykułów streszczeń w językach światowych. Nb. CPH stosowało do dzisiaj język francuski w tych streszczeniach, a nie angielski. Ale pytanie jest takie: o CPH widziane z od dali. Co mógłbyś na ten temat powiedzieć?

J.M.M.: Moja opinia jest bardzo pozytywna. Jestem regularnym czytelnikiem CPH, wiernym, zainteresowanym, jak przychodzi nowy tom to się zagłębiam w lekturze na kilka godzin, czy kilka dni. Oczywiście trudno coś powiedzieć w imieniu innych czytelników. Problemem raz jeszcze jest kwestia języka, ale to samo dotyczy innych czasopism np. w języku holenderskim mam tu na myśli „Tijdschrift voor Rechtsgeschiedenis”.

S.S.: To jest kwestia zresztą przedziwna, to pismo holendersko-belgijskie było w swoim czasie dwujęzyczne to znaczy francusko-flamandzkie (holenderskie). Teraz wyrzucili, ze względów niestety trochę szowinistycznych, francuski i czasami dają niektóre teksty po angielsku, a reszta jest drukowana po flamandzku.

J.M.M.: Tak, gros tekstów drukują po flamandzku czy po holendersku i nie sądzę, żeby czytelnicy spoza Holandii i belgijskiej Flandrii oceniali to

pozytywnie. Czytelnictwo pisma podupadło. Wracając do CPH, to poziom tekstów wydaje mi się bardzo dobry. Poza tym doskonale są recenzje, jest kronika życia uniwersyteckiego, naukowego, z której dużo można się dowiedzieć, nie tylko kongresy i jakieś spotkania naukowe, ale nawet przewody habilitacyjne i doktorskie! Tego nie ma we Francji. Nie daje się też streszczeń prac doktorskich z historii prawa. W CPH jest również bibliografia. I muszę powiedzieć, że zawsze mi było miło, że w tej bibliografii było cytowane moje nazwisko. Nie jako autora zagranicznego piszącego o sprawach Polski, bo tak to nie jest, ale autora polskiego, czy pochodzenia polskiego, piszącego na inne tematy, papirologiczne, czy judaistyczne, czy romanistyczne. Generalnie, jeżeli chodzi o sprawy językowe, to trudno się jednoznacznie wypowiadać. W naszym piśmie w Paryżu bronimy, ja osobiście bronię frankofonii. Chcę, żeby artykuły były pisane po francusku. I odmawiamy prac w innych językach, które nam proponują Włosi czy Niemcy, są do tego inne czasopisma dopuszczające różne języki. Być może trzeba będzie kiedyś od tej zasady odstąpić, nie wiem kiedy, ale trzeba się bronić przed tym imperializmem lingwistycznym anglosaksońskim, który zwłaszcza w naszej dziedzinie – historii prawa – nie ma żadnego uzasadnienia.

S.S.: Moim zdaniem jest to całkiem słuszne stanowisko, bo przecież chodzi o to, żeby istniał bodziec, a taki bodziec jest konieczny w moim przekonaniu, który by zmuszał młodsze pokolenia kolegów do pamiętania stale o tym, że bez względu na to, jaki język wybierze, głównym językiem, zwłaszcza konwersacji nazwijmy światowej, będzie i jest niewątpliwie angielski, ale że bez znajomości – biernej – przynajmniej trzech języków europejskich – francuskiego, niemieckiego i włoskiego – taki autor nie ma dostępu do naszego światowego dorobku.

J.M.M.: Nie mówiąc już o językach starożytnych, jak greka i łacina, hebrajski, hieroglify egipskie.

S.S.: Pomijając łacinę, reszta ma bardziej wąski zakres badawczy. Ale chodzi mi przede wszystkim o to, i zawsze powtarzam, czytając niektóre nowe prace na temat mniej więcej taki sam, jak już kiedyś ktoś pisał, to stwierdzam, że dobra praca źródłowa napisana z historii prawa około 1890 czy około 1900 roku w zasadzie jest nadal aktualna.

J.M.M.: To prawda.

S.S.: Stąd nieraz denerwuje mnie „polewanie sosem” pewnej nowoczesności tematu dobrze już znanego, kiedy właściwie to co było ważne zostało wcześniej powiedziane. To są quasi plagiaty, choć nie byłoby łatwym zadaniem udowodnienie tego *lege artis*. Poproszę teraz o jakąś końcową refleksję.

J.M.M.: Końcowa refleksja jest bardzo prosta. Życzę „Czasopismu Prawno-Historycznemu” jak najlepszych lat, długiej twórczości, rozwoju, życzę żeby młodzi polscy historycy prawa szli za przykładem starszego pokolenia i żeby nasze dyscypliny rozwijały się, żeby były kultywowane, i tu czasopismo odgrywa, moim zdaniem, rolę na skalę europejską, bo czym byłaby Europa bez kultury prawnej, a nasza kultura prawna nie ma sensu bez historii? To są banały, wszyscy o tym wiemy, ale tu jest może i nadzieja na jakieś lepsze perspektywy dla naszej działalności na najbliższą przyszłość. W każdym razie było mi bardzo miło, że mogliśmy sobie tak powspominać stare dzieje i nasze studia, i naszych mistrzów, i naszych kolegów, ale najważniejsi są nasi uczniowie, którzy po nas będą kontynuować to, w co myśmy wierzyli, czym myśmy się z zapałem zajmowali.

S.S.: Dziękuję.

J.M.M.: I ja bardzo dziękuję.